

Dawno jeszcze, zanim filozofja, ostatni regulator wszelkiej wiedzy pewnej epoki, postawi swój system, przeczuwa poezja losy śmiertelników. Goethe swoim Wertherem zaczął ową lukullusową biestiadę ducha, ową hulankę rozpustną, wybredną, szukającą rozkoszy niecodziennych. Wszystko co naturalne, zaczęło odtąd być płaskie; szukano rzeczy i pojęć nadzwyczajnych, miłości wyszukanych, coby podrażniły niesmakujące już podniebienie sybarytów duchowych. Goethe zaczął, poszedł za nim Byron, Shelley, Hugo, Musset, Słowacki i Puszkina, a nawet Heine, plejadą romantyków zwątpienia, negacji, niesmaku, znudzenia przedstawicieli. Wertery, Kordjany, Gustawy, Rollowie, Haroldy stali się wzorami kształcącej się młodzieży, a epigony tych pierwowzorów są samobójcami albo sybarytami, pessimistami itd. Teoria transcendentalna odegrała swą rolę, zakonczywszy szkołę zwątpienia; nowe światło polyska na dalekim niebie, ale sporadycznie dopiero, jak złoty smug błyskawicy nocnej, która mignie, rozświeci na sekundę ciemne niebo i znów ciemno.

Tymczasem giną codziennie ludzie najzdolniejsi bez owoców, z uśmiechem pogardy na ustach, z ziewaniem na twarzy, nędzni, słabi.

Alfred de Musset swego Rolla wymarzywszy, postawił go jako wzór nędzy duchowej. Tysiące młodzieży jest tylko plagiatem Rolla.

Gdybym Cerwantesem był, śmiałybym się z tych postaci, coby może więcej pomogło — ale śmiać się nie umiem. Harlekina czapki nie dał mi jejus, tylko Iżę Heraklita. Czyżby nikt wyzwolić się nie mógł z pod wpływu swej epoki? Człowiek jak drzewo wyrasta z gleby, żyjąc jej sokami.

Zbyt długi był ten traktat filozoficzno-literacki, ale zdawał mi się potrzebny do zrozumienia Henryka.

Takich Henryków dziś coraz więcej, więcej, coraz wolniej biją serca młode, coraz niżej pełzają umysły wiosenne, coraz słabsze skrzydła, podłejsze umysły, a największy ten, który jak Henryk o wszystkim zwątpiwszy, zawiął się niby Cezar w togę rezygnacji i z pogardą czeka na śmierć, urągając życiu i cierpieniom.

Żadnejże nie ma nadziei?... O jest. Już Alfred de Musset przeczuł tę prawdę, bo kazał Rollowi umierać spokojnie pod ciepłą osłoną „ludzkiej” miłości.

Henryk był dzieckiem swego wieku. Innym stać się nie mógł, innym stać się może, jeśli przypadek w pomoc mu nie przyjdzie.

Zrozumie czytelnik, że mówiąc o epigonach tej epoki, nie mam na myśli szarego tłumu codziennych ludzi, którym w każdym czasie i wszędzie było dobrze, bo żyli jako zwierzęta. Prostaczek egipski nie był mędrszy od polskiego chłopca, byli obaj zawsze szczęśliwi.

Nie potrzebuję dodawać, że nie stan lub zewnętrzne blaski mnie oslepiają; mamy holotę na dworach królewskich, a inteligencji arystokratycznej w chatach nędznych, co dziś już utartym powiadkiem. Mówię o tych ludziach, którym przyroda dała większy mózg, ciepłe serca, których ukarała samodzielną myślą, z tą myślą, co się nie wiąże urzędową lub nauczoną nauką.

Takim był Henryk. Młodzieńcem polykał najróżniejsze książki z chciwością, a kiedy w świat wyszedł, tych książek utworzył szukał żywych odbitek swych ideałów między ludźmi. I on zabiegał najprzód miłości, tej samej bezcielesnej

miłości, o której dziś Alfred marzył; więc przechodził od kobiety do kobiety, bo każda trąciła po niej jakimś czasie ziemią, a on, romantycznej poezji syn, mógł tylko kochać jakieś coś bez nazwiska. Motyl nocny krąży naokoło światła i nie cofnie się, choć sobie skrzydelka opali, aż trupem padnie u stóp ognia. Henryk krążył, szukając prawdziwego światła, aż tę trochę instynktu miłosnego, które z sobą na świat przyniósł, splonęło. Szwaczki, panny, aktorki, śpiewaczki, w końcu damy wielkiego świata, służyły Henrykowi do eksperymentów romantyczno-niepochwytanych, a że wszystkie były pochwytne, jedna więcej, druga mniej, w miarę objętości cielesnej, splunął i zawołał: „Głupstwem miłość nie ma jej!” — I wówczas rzucił się oburącz w objęcia rozpusty cielesnej i śmiał się z idealistów przy kieliszku... aż i ten szal przeminął. Chciał teraz wiedzy, więc zanurzył się cały w mętne morze nauki, ale że mętne było, nie przezrocze, kryształowe, splunął ponownie i zawołał: „Głupstwo wiedza! Nie daje mi klucza, którymbym otworzył tajemnice wszechbytu; a ja chciałem wszystko wiedzieć, wszystko, i doszedłem do tego, iż nic nie wiem. Więc bywaj mi zdrowe, życie, żegnaj mi bycie zwierzęcia!” Byłby zakończył tę tragi-komedję wystrzałem z rewolweru, z efektem teatralnym przynajmniej, ale miał brata, którego kochał. I tak ocaliło go uczucie ludzkie, ziemskie. Zbrzydziwszy sobie hałas wielkich miast, osiadł w Radonce, gdzie nikogo nie widział, i zaczął tu wegetację rośliny. Straszny to stan, gorszy stokroć od śmierci, bo w trumnie człowiek odpoczywa rzeczywiście, a na scenie żywej świata przypomina wszystko nędzę tego podłego bytu.

Nieraz leżał Henryk po kilka godzin na szelzongu z szklistem okiem, a w piersiach wiał chłód grobowy, a w sercu cuchnęła zgnilizna, a w głowie było pusto, tak okropnie pusto, jak w mózgowicy poety, kiedy po całonocnej, natężonej pracy, na południe drugiego dnia się przebudził. Zdaje się wówczas, że tam ktoś w czasce nożem ściany obkrobał, bo żadna myśl nie zaludniał komórek, a głowa cierpi najwięcej na *horror vacui*. Wówczas kładł się Henryk twarzą na poduszki i chciał zasnąć, ale nie mógł; chciał płakać, łzy nie płynęły; chciał kląć, nawet zlorzeczenie zdawało się trudem martwemu cielsku. (C. d. n.)

Opatrzność szatana.

Rzekli narodom narodów mordercy:
Oto wam niesiem wolność w imię krzyża,
Skruszym to jarzmo! ryknęli szydercy,
Którém poganin czoła wasze zna!
Co niegdyś zdziałal bohater Chocima,
To my zdziałamy! Powstajcie narody!
Potęgi naszej nie tu nie zatrzyma,
Wieniec słowiańskiej my spleciem swobody!

Rzekli — i ludy, jak dzieci sieroce,
Co tęsknę matki, biegły ku macosze,
Krow, mienie, wiarę dały i zażęgły
Ogień na własne domy.

Za proroczo

Wzięły te głosy piekielnej Syreny,
Co szła z północy jak wsteczności chmura,
Za kosmami świętych wietrzac węchem hieny,

Gdzie ciał męczeńskich piętrzyła się góra,
Ciał polskich, które mordowała wściekła
Żądna by zabić — nawet i te duchy,
Co z nich do Boga uszły, gdy świat głuchy
Patrzył na śmierć ich!

I dziś się oblekła
W pancierz aniola — szatan tu wcielony!
Co chciał anioly trutować w swej pysze,
Z nieba historii za zbrodnie strącony,
Jął powoływać swoje towarzysze,
Bo pysze jego stało się potrzeba
Piekieł szturmować utracone niebo!

* * *

I Czech, Serb, Bułgar, Grek i Góra Czarna
Przy hordach Moskwy, to siła nie marna!
Jak mąż gotowy w imię tej miłości
Do walki jako Krzyżowcy stanęli
I w swej prostocie, biedni! pomysłili,
Że im zabłysła jutrzeńka wolności!
I patrzcie! oto dziś cztery narody,
Co gorsze jarzmo za swą krew dostały,
Rumun je dźwiga, z hańby korowody
Już mu wściekłością zęby zazgrzytały,
Bo mu wędzidło włożono złocone,
I więzy lekkie — w żelazne zmieione!
Serb walczył z wiarą, choć walczył mniej dzielny,
Że krew serdeczną lał, nikt nie zaprzeczy;
Za to mu dano policzek śmiertelny,
I poczuł plazy tylko carskich mieczy,
Służalec piętno dano mu w dodatku,
I co przed walką miał, to ma po walce,
We krwi na próżno poszargane palce
I miano tchórzeza rzucił car w ostatku!...
Porwał się Bułgar, krzywdy swej pamiętny,
I krzywdą odwet płacił bez litości.
Głos miłosierdzia barbarzyńcom wstrętny,
I wzajem siali po polach swe kości!
Lecz dostał w zamian za swą krew przelaną
Miano muzyka pośród carskiej czerni,
Tam, gdzie ojczyznę marzył odzyskaną,
Którą już oddać mieli mu „niewierni”,
I z wielkomyślną u nich cara laski,
Ten sam co w Polsce wniósł lud: kniaź Czer-
kaski!

I Czarnogórze, orzeł wicheroplóry,
Co zda się czołem dumnym bódzie chmury,
Strukę*) zarzucił, biały nóż przypasał,
I jak lawina z swoich gór pohasał.
Rzucił się w odmęt tej rzezi bezładu,
Której podobno nie było przykładu,
Odkąd mord mordem i górami góry!
Kto mu w tej walki spiekielnionej toni
Dal dłoń lub oręż choć jeden do dłoni?
Na pastwę poszli — i wydani pastwie,
Krzyk poszedł w chmury jak po dzikiem ptactwie,
Co się rozpierzchno — i krwi tej kaskady,
Nad które powstał księżyc trwożą blady;
Bo od tych trupów i posianych kości,
Co się jak zwierząt zgraży rozdzierały,
I ręce w trzewiach dwie doby szargały —
Hańba wiekowi! i hańba ludzkości!
I krew ta będzie w setnem pokoleniu,
Jak klejnot Moskwy — na carskiem sumieniu.
I ten „poganin” ciemny, pogardzony,
Którego zwaścieście przez sto lat trupem,
Sam — jak bohater, zewsząd opuszczony
Lwem się stal! wstyd wasz mu największym lupem!
Jednem ramieniem w Azji, w Europie
Drugiem was gromi, grób hańby wam kopie;

*) Struka, rodzaj burki, płeda czarnogórskiego

Ten jeden co z nas nie sztydził w niedoli,
On u Allacha otrzymał zwycięstwo!
Rozbioru Polski on jeden! (to boli!)
Nie uznał — więc dziś mu błogosławieństwo!
Bo w pośród zbrodni chrześcijan, on poganin
Więcej chrześcijańskim był niż chrześcijanin!
Bo choć to państwo na tak niskiej stopie,
Wolniej, sumiennie w niem niż w Europie!

Bije godzina na wieków zegarze,
Budzą się wreszcie Eumenid legjony;
Głos tej godziny ty słyszysz, o carze!
On dzwoni: „Polsku!“ przed którą twe trony
Drża i pękają niemych skal marmury.
Pycha Xerxesów zaryczała w tobie,
Bo prawda stapać poczyna po globie!
I piorun niosą już brzemienne chmury,
Twe knuty, mordy, Sybiry, tortury
I męki ducha, i bez końca zbrodnie!
Własnych Eumenid oświecając pochodnie!
Godzina pierwsza jękla wydzwoniona:
To Plewna! słyszysz, szarańczo okrutna?
Jęk z piersi ludzi wydarł się miliona,
Jęk ten to rozpacz, w przekleństwa rozrzutna,
To Polska śnieżna, z krzyża swego smutna,
Patrzająca niemo na ludy bez czola,
Które opatrność szatana powola.
Plewna, to plewna, którąś wśród narodu
Siał niby ziarno ducelowego głodu;
To kąkol schodzi, siewacze kąkolu,
Siany na roli z krwi, kości i bolu,
Zgrajo bez czola, co przez Polski trupy
Szłaś już po nowe bizantyjskie lupy;
Mesjaszu piekiel! idź do tego kraju,
Aż cię szarańczą wytopią w Dunaju,
A wielki Balkan orłom swym zaściele
Twe bohaterские mózgi i piszczele.
A ty, o! Słowian plemię uwiedzione,
Naprawdę słowu i sławie znaczone,
Lej krew i uwierz, trzodo opętana,
Aż cię duch Polski, jasny, apostolski
Oświeci kiedyś, plemię wkute w ziemię:
Czem jest opatrność Boga — a szatana!

Ernest Bulawa.

Przemysł w sierpniu 1877 r.

LICHOLECIE. *)

— Miły synu, bieda gniewie,
Ozłek by spoczął rad na marach.
Przyszło na nas licholecie,
Jak na Rusi po Tatarach!

— Nie traćbyś ojcze wiary!
Bóg od Niemnu pchnął Litwina,
Het ubiegły w step Tatary
Przed berdyszem Gedymina!

Sprzął trzy ludy palec Bóg,
Stawa Polski brzmi po świecie,
Przy Zygmunto w jasnej zorzy,
Z wiatrem zbiegło licholecie!

— Oj ubiegło nie na długo!
Inni ludzie, inne czasy,
Krew na Dnieprze płynie strugą,
Rozpajają Polskę Sasy!

*) Tak nazwano czasy panowania Tatarów na Rusiach w XIII i XIV wieku.

Zle się wali trzema szlaki,
W chmurach gaśnie Polski gwiazda,
Biały orzeł, ptak nad ptaki,
Na obczyznę leci z gniazda!

Czart wymyślił Targowicę,
Niemiec dusi, Moskal gniewie,
Wstyd rumieni Polski lice,
Straszne przyszło licholecie!

— Prawda ojcze, kraj rozdarty,
Ach! odrzućmy sny złowieszce;
Wymazano imię z karty,
Ale Polska żywa jeszcze!

Drga potężnie w pierś synów,
Strumieniami krew swą leje,
Spytaj o to Apeninów,
Niech poświadczą Pireneje!

Pięć pokoleń dług oplaca,
Z palm i błaszczów wieńce plecie,
Ta wiekowa nasza praca
Zmoże w końcu licholecie!

— Oj czy zmoże? Wiatr szalony
Od północy ostro dmucha,
Niszczy wiedzy złote plony,
Mrozi serce, więzi ducha!

Padło pod nim dzielnych wielu,
Już zraty chwila bliska,
Odrodzony smok Wawelu,
Szpony jeży, klami błyska!

Z gniazd puszczyków budzi chmury,
Patrz! rozmyka paszczę wściekłą,
Wnet pograży Kraków stary
W panslawizmu wrzące piekło!

Kto w proch zetrze pomiot smoczy?
Dziś Krakusów brak na świecie!
Czarna chmura słońce mroczy,
Straszne, straszne licholecie!

— Tak, niewola mać zmysły,
Lecz tumany te przemina.
Spytaj Dniepru, spytaj Wisły,
Czy ich wody jeszcze płyną?

Popatrz w sine Karpat szczyty,
Kędy w chmurach piorun drzemie,
Niech powiedzą te granity,
Zmarłóż w gniazdach orłów plemię?

Zanurz w serca wzrok do głębi,
Wniknij duszą w dusze matek,
Czy z nich wydarł szpon jastrzębi
Prąjcowskich enót ostatek?

Bóg zbolalym łask użyjeza,
Wciąż pobudki daje nowe,
Mamy pieśni Mickiewicza,
Mamy dumki Bogdanowe!

Patrz! nad Bugiem gwiazda świeci,
Niech jej blaskiem wzrok napieszczę!
Proch unickich wola kmieci:
Nie zginęła Polska jeszcze!

Trzema szlaki przyszła bieda,
Trzema szlaki precz odbieży;
Polska wrogom zgnieść się nie da,
Póki ufa, póki wierzy!

Póki mędom technienia starezy,
Póki starezy enót kobiecie,
Pod osłoną Bożej tarczy,
Przebrniem straszne licholecie!

Gryf.

RAFAŁ LESZCZYŃSKI

Podskarbi Wielki Koronny,

Ojciec Króla Stanisława.

Przez

DOMICJANA MIECZKOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

W oznaczonym dla wjazdu dniu 17. kwietnia, wyruszył już o świcie orszak posła w porządku takim: na przodzie szło stu ludzi z chorągwi wołoskiej, przybranych w pancerze i mających dzidy z proporcami czerwonymi, na których były wyszyte krzyże złote; niektórzy z nich prowadzili podwodowe konie znakomitszych panów polskich do poselstwa należących. Jadący na czele trębacze trąbili w srebrne, wyłacane trąby, a postępujący za nimi dobosze rażno bili w srebrem obłożone kotły; wszyscy mieli na sobie strój barwy koralowej. Potem jechał koniuszy w świetnym ubiorze, a za nim ośmiu masztelarzy w barwie koralowej, którzy za cugle tzymali wierzchowce posła, przybrane rzędem bogatym z rozrzuconymi po wierzchu najcieńszymi tyftykami. Dalej następowało dwunastu chłopców służbowych w ubiorze karmazynowym na okazałych koniach. Za tymi szło dwunastu pokojowców pod wodzą starszego przewodnika, także szczęściu dworzan pod sterem marszałka dworu poselskiego w kontuszach jasno-cynamonowych, sobolami obłożonych, w żupanach atlasowych, czapkach sobolowych, z przypasaniami u boku szablami w osadzie złocistej. Następnie jechało ośmnastu towarzyszy pancernych z tarczami, sajdakami, koleczanami i misiurkami. Tuż za nimi było dwunastu jeźdźców z kompanji cesarskiej, z zawieszoną skórą lamparcią. Za tymi jechało na wspaniałych rumakach szczęściu kasztelanów, kilku suto ustrojonych panów, kilku jezuitów-kapelanów, sekretarz posła i wreszcie sam poseł w kontuszu niebieskim sobolami obszytym, w czapce sobolowej z kitą djamentową, na dziarskim rumaku, którego rzed był szczerzo-złoty, rubinami wysadzany, a przy tym rzedzi: ogromna kita rubinowa, siedzenie lśniące od perel i drogich kamieni, kapa tyftykowa w kwiaty na karmazynowym aksamicie, wyszywana złotem i perlami. Po jednym i po drugim boku posła szło pięciu biegaczy w przyborze na kształt Merkuriego, w kirysach na głowie, z których przeglądaly na karmazynowym tle świetne herby, zwieszały się złote kutasy, powiewały strusie